

przełożyła Monika Gawlak

Dlaczego władcę należy zabić

Chciałbym być szczerzy i już na początku wyznać, że mój opis dokładnego przebiegu wydarzeń nie zgadza się z wyjaśnieniami uznanymi dziś nawet w kręgach naukowych. Pozwolę sobie zaprezentować relację z tej nocy, która koniec końców wcale nie była zwykłą nocą.

Księżyc świecił w pełnej krasie. Jego blask subtelnie otulał ciemne zbocza skalne, trwające tam już od tysiącleci i całowane przez cały ten czas delikatnie przez mroczne morze. Tam, w pobliżu, jedynie sto metrów od stromych skał stała samotna budowla, postawiona przed stu laty (w którym roku niestety zapomniałem, co nie zdarza mi się często) i do dziś spełniająca swoją funkcję. Wydarzenie, które pragnę przybliżyć, miało miejsce właśnie obok instytucji o szczególnym przeznaczeniu, jak dziś nazywamy te zakłady, których ostatnimi laty jest coraz więcej i spotykamy je coraz częściej w naszym kraju.

Budynek sam w sobie nie był niczym nadzwyczajnym, przypominał wszystkie ówczesne budowle tego typu, poprządkany dużą ilością okien, w których niczym sieć pająka tkwiły ciemne kraty. A wokół niego rozpościerał się ogromny park.

Tego właśnie wieczoru w parku przy tej budowlu zaczęły rozgrywać się dramatyczne wydarzenia, zasadniczo zmieniające wizerunek tego miejsca.

Choć była zima, jak na tę porę roku było niewyobrażalnie ciepło. Nawet nie ciepło, panował raczej duszący skwar, niosący z sobą szczególnego rodzaju smród, przypominający cierpki odór kanalizacji.

Bystry obserwator mógłby odczuć w powietrzu coś, co najbardziej przypominałoby wyjątkowo silne promieniowanie elektromagnetyczne.

Wyglądało to tak, jakby niemal cała pobliska energia elektryczna uwolniła się ze splecionych okowów kabli, rozpierzchnęła się i skumulowana znalazła swoje miejsce właśnie w tym zakątku ziemi. Powiedziałbym, że można było odczuć napięcie szczególnego rodzaju.

Coś ciężkiego, być może nawet przerażającego, a z pewnością wymykającego się opisowi można było poczuć w powietrzu.

Nie można oczywiście wykluczyć, że wrażenia te są jedynie tworem mojej wyobraźni, wszak chodzi o subiektywne odczucie czegoś, co jest nienaukowe i całkiem pozbawione dowodów.

Nieco oddalona od starego gmachu, tuż obok znacznie mniejszego, w połowie już zrujnowanego budynku, który służył niegdyś za ostatnie schronienie, końcówką, jeszcze tu na ziemi, przystań dla tysięcy błądzących, zagubionych i cierpiących dusz (wtedy w swoim notatniku zapisałem jedynie dom pogrzebowy), w miejscu, gdzie dziś znajduje się wysoki pomnik, stała zwykła chata, a przy niej ogromny, świątecznie udekorowany stół.

Jakiś tuzin osób, otulonych w wąskie białe kitle, załatwiało ostatnie jeszcze formalności w związku ze zbliżającym się wieczorem. Przy ubraniach na złotych blaszkach widniały ich nazwiska i tytuły zawodowe, wyjaśniające nawet laikowi status zajmowany w instytucji.

Przybywające towarzystwo gromko zasiadało na krzesłach starannie ułożonych wokół bogato zastawionego stołu, a godziny cicho mijały i nieuchronnie zbliżała się północ. Na twarzach gości, początkowo jeszcze ciut powściągliwych, zagościła odurzona radość. Grzecznościowe frazy powoli, acz wyczuwalnie, zastępowane były słowami, które zdaniem wielu od zawsze były prawdziwsze i bezpośrednie i ponoć wyływały z samego serca.

Zabawa stawała się coraz bardziej hałaśliwa.

Odwrotnie proporcjonalnie do ubywających ze stołu różnych płynów, niczym potok, wciąż szybciej i szybciej, dokładnie jak kilka metrów niżej płynący, niezwykle silny prąd morski, lał się w gardła obecnych oształamiący trunek.

Niepohamowana radość powoli, choć odczuwalnie, zagościła wśród zebranych i podpowiadała coraz bardziej swawolne zachowanie przy stole. I wtedy, niewiele przed północą, nadszedł brzemienny w skutkach moment, który nawet do dziś znany jest szerokim rzeszom osób w dość zdeformowanej postaci.

Muszę przyznać, że dokładne wytłumaczenie, jak przebiegały kolejne wydarzenia przysparza swego rodzaju zakłopotania. Stało się bowiem coś, co być może nie idzie w parze z tym, co ogromna większość pojmuje jako zdrowy rozsądek, i dlatego całą rzecz niezmiernie trudno, jeśli w ogóle to możliwe, opisać zdroworozsądkowo.

Być może faktycznie wydarzyło się coś podobnego do tego, co tysiące lat wcześniej opisywali już niektórzy antyczni mędrcy, jak to w jakimś magicznym, uroczystym momencie, tam, gdzie jeszcze kilka chwil wcześniej siedziało wesołe, ale mimo wszystko całkiem rozsądne i w większości spokojne towarzystwo, z pobliskich szczytów Tracji zjawiał się pijany, dziko rozochocony Dionizos wraz ze swoją upojoną kompanią i całą mocą swego szaleństwa opanowywał zebranych.

Zupełnie nie potrafię inaczej wyjaśnić przemiany, jaka się tam wydarzyła.

Niech nastąpi teraz opis wypadków, wciąż mocno tkwiących w mojej głowie (jak również nadal zapisanych w moim notatniku) i zasadniczo determinujących ten fatalny wieczór.

„Jestem wygłodzony”, brzmiały słowa, które niemal nieludzko, niczym głos rozwścieczonej bestii, rozdarły głuchą noc.

„Tam przechadzają się pawie, niedostępni, potężni władcy”, odpowiedział drugi z gromkim śmiechem, trzymając głowę w naczyniu pełnym słodkiego upojenia.

Trzeba tu dodać, że następujący fakt można uznać za niepodważalny. Właśnie na tych terenach już dawno osiedlono kilka tuzinów ptactwa tego gatunku. Niestety z powodu ciągłego braku pracowników w tego typu instytucjach dokładnej liczby ptaków nie można było nigdy stuprocentowo ustalić. Nawet najstarsze dokumenty, zawsze wzorowo uporządkowane, niektóre nawet opatrzone datą sięgającą dobre stulecie w przeszłość, nie zawierają zapisanych danych co do liczby pawi na tym terenie.

Znamy jedynie przyczynę, dlaczego tam są. Według dostępnej dokumentacji, a można ją odnaleźć właśnie w tym samym archiwum, miały być osiedlone z prostego powodu, a mianowicie, zdaniem różnych specjalistów tamtych czasów, nie tylko na tych terenach, lecz nawet rozleglejszych, ptaki te uspokajająco wpływały na pracowników, a przede wszystkim na tych, którzy z najrozmaitszych powodów swój dom znaleźli w murach tej wiekowej instytucji.

Mogę jeszcze dodać, że dziś wszyscy, również szersza zbiorowość, zgadzają się, iż mimo niepełnych zapisów w archiwum ptaki te właśnie tu, na przestrzeni lat, masowo się rozmnażały i namnożyły.

„Chcę pawia na tym stole”, krzyczał jak szalony pierwszy. W jednej chwili znalazł się w jego rękę olbrzymi nóż rzeźniczy.

„Na polowanie, wszyscy na polowanie, razem na polowanie...”, dodał z zachwytem drugi, trzeci, czwarty... i w wielu rękach, w białej poświacie księżycy, groźnie żarzyły się oblane ogniem siekiery i wszelkiego rodzaju noże.

„Opamiętajcie się, co wam po pawiach, tych cudownych rajskich ptakach. Nie możecie ich pozabijać. To nie są kury”, padł apel, niczym ostatni głos rozsądku, z jakiegoś zupełnie innego świata i chwilowo zagłuszył bojowe krzyki białych uniformów.

Zebrana gromada zamilkła na moment, zamarta i wydawało się, że sytuacja wcześniej czy później się uspokoi.

Tak się nie stało.

Najwyraźniej już dawno zapanowało nad nimi nieopisane szaleństwo.

Zaledwie kilka chwil później wstał największy z nich, wystąpił z tłumu, wskoczył na stół, przewracając przy tym kilka kieliszków, nogą przesunął pozostałości potraw i głośno krzyknął do pozostałych:

„Na znak solidarności i pomocy tysiącom bezsilnych kur, które w niesłychanym cierpieniu każdego dnia tracą życie, wzywam wszystkich tu obecnych, abyśmy połączyli swoje siły. Uchrońmy naszą kurę przed przemocą i grabieżą wszystkich tych, którzy przez wieki przywłaszczali ją sobie i w swojej nienasyconej pazerności, okrutnymi, zachłannymi, krwawymi kłami rozszarpują jej jeszcze nieskalane, młode mięso. Dlaczego kura miałyby umierać, a paw nie? Dlaczego, pytam? Brak tu sprawiedliwości! Śmierć tej biednej, uprzywilejowanej, gloryfikowanej kury. Śmierć pawia władcy!”.

Słów padających kolejno zupełnie już nie można było rozpoznać, gdyż dzięki wrzaski aprobaty, obłąkańcze żądze i burzycielskie pragnienia rozbudzone w obecnych wypełniły bliższą i dalszą okolicę. Zarówno noże, widelce, siekiery i inne rupiecie, jak i głośne ryki, niczym rozszalała groźna burza, rozpanoszyły się po rozległych przestworzach.

„Śmierć pawia władcy, śmierć pawia władcy...”, jak obłąkani z całych sił krzyczeli chóralnie.

„W imieniu wiecznie cierpiącej kury skazujemy pawia na śmierć”, kategorycznie domagało się żądne krwi zgromadzenie.

W tym momencie w zamrożonych, wyglądających jak pajęczyna oknach, pojawiły się liczne ciemne sylwetki, które krzykiem i roszczeniami przyłączyły się do gromady zebranej poniżej.

„Wyzwolić uciśnionych, zgnębionych i uwięzionych”, z całych sił krzyczał ktoś z górnego piętra.

„Razem będziemy mocniejsi”, głośno wtórowali ci na dole.

Mężczyzna w podeszłym wieku, otulony drogocennym czerwonym płaszczem, skierował się do starego budynku. Za jego pasem, prócz zakrwawionego noża, zwiisał pęk kluczy i kart bezpieczeństwa. Zaledwie chwilę później klucze pobrzękiwały w zamkach, a kody bezpieczeństwa momentalnie przyzwoliły na otwarcie się wiecznie zamkniętych drzwi. Barwna gromada młodych, starych, kobiet i mężczyzn wdarła się na podwórze i w dzikim tańcu ryczała z radości.

„Za wyzwoloną kurę...”, niemal jednym głosem wyli w tę jasną noc.

„Niech żyje nasza kura”, oblani blaskiem pełni, chrypiącym głosem wtórowali następnymi.

W tym momencie, niczym ogień, rozpętało się dzikie polowanie i nadzieja na spokojne zakończenie przysła.

„Jam jest król Matjaż i moje wojska są tu z wami!”, krzyczał starszy mężczyzna o długiej białej brodzie.

Za nim stała młoda kobieta, która na znak protestu unosiła w powietrzu groźnie zaciśniętą, zakrwawioną pięść. Za nią z niewymownym pragnieniem, by dogonić tę szatańską kompanię, bezmyślnie napędzała koła wózka inwalidzkiego jeszcze kilka godzin wcześniej całkiem bezwładna staruszka o siwej rozczochranej fryzurze zakrywającej zdeformowaną przez wściekłość i starcze zmarszczki twarz.

„Jestem żywy i wolny, ja, Erazem Predjamski, więzień zamku, który przez wszystkie te lata bez skutku oblegaliście”, przez śmiech huczało z gardła ogromnego, pulchnego mężczyzny, który stojąc na muszli klozetowej w ogrodowej ubikacji, rzucał między zgromadzonych zakrwawione kawałki mięsa.

„Brygady natarły jak lawina, odważny ich krok nigdzie się już nie zatrzyma...”, gdzieś w tle śpiewał chór podsiwiałych i bezzębnych staruszków i staruszek.

„Przybывamy również my – czarownice ze Slivnicy”, wybuchając gromkim śmiechem i wymachując miotłami w rękach, wrzeszczały dziewczęta pod trzydziestkę, a przy tym groźnie ukazywały swoje już nieco pożółkłe zęby.

Samozwańczy Samo stał w środku tego niebywałego tłoku i kręcił w rękach krzestem o sterzcących w górę czterech zakrwawionych nogach.

W tym gwarnym zamieszaniu ktoś wskoczył na stół i głośno krzyknął:

„Bierzcie, bierzcie...”, i w oszalały tłum rzucał różnokolorowe kartonowe pakunki. Postępowi żołnierze jak obłąkani razem rozdzielali jaskrawe opakowania, na których widniały w większości dobrze znane nazwy: Valium, Diazepam, Xanax, Lorazepam, Klonazepam...

„Za naszą kurę z miłości”, głośno śpiewali dwaj bracia, podobni do siebie jak dwie krople wody, obejmując się przy tym i bez przerwy całując.

W niewielkim oddaleniu od najgłośniejszych zajęć, na gigantycznym kamieniu, na wzór księcia Karantanii, siedzącego przed stuleciami na książęcym tronie, kołysał się i sennie pokrzykiwał drobny, już nieco siwy jegomość, filigranowy krasnal.

Barwny tłum był niczym zwierzyzna żadna krwi i gdzieś z tyłu groźnie pulsowała chciwa walki modlitwa. W blasku licznych srebrnych gwiazd rozrzuconych na niebie i błędzących w ciemności nocy, pod starym olbrzymim krzyżem oblanym krwawym blaskiem księżyca, trwał niedorzeczny pogrom.

Tyczkowiaty trzydziestoletni chudzielec o kościstej twarzy i z wyłaniającą się łysiną na głowie, w nieskazitelnym kombinezonie maskującym, pijany z rozkoszy zastanej sytuacji, stał na skrzyni pełnej broni i głośno przeliczał zbrukane krwią pieniądze.

Towarzyszył mu pazerny grubas w olbrzymich okularach, krzyżąc jak szalony:

„Do broni, dalej do broni, raz na zawsze wyćpić tę gadzinę!!!”.

Na polanie rozpuętały się pierwsze strzały i mgła pokryła zebranych.

Spowity zasłoną dymną, przechadzał się pomiędzy tłumem narcyz, jakby paradował po wybiegu, i z całych sił zachwalał swoje osiągnięcia.

Przy pokrytym lodem ulu stał brodaty muzyk i grał na harmonijce melodię zagrzewającą do walki.

„Do boju! Do boju! Razem do boju, a gdy będzie trzeba, solidarnie, dla naszej kury będziemy żreć nawet trawę”, krzychało stado nieszczęśników leżących na gołej ziemi, łapczywie wpychających sobie w usta i żujących całe kępy żdźbeł, które rosły dookoła.

Zapanował obłęd.

Na tej zwyrodniałej, wampirskiej uczcie, nieco w tyle, siedziała i targowała się liczna zgraja mniej lub bardziej znanych w świecie nazwisk.

Końca tej krwawej pijackiej orgii niestety nie pamiętam.

Wiem jedynie, że te sceny, wciąż zakotwiczone gdzieś głęboko we mnie, nie dają mi spać i niczym mroczne, ciężące cienie wciąż towarzyszą mi na każdym kroku. Wydaje mi się, jakby ta pijana potęgą horda nigdy nie przestała świętować, jakby ten dziki tańiec, krwawy waleczny marsz trwał nadal. Ciągłe wyraźnie słyszę nieznośny hałas, krzyki i ich szaleńczy śmiech.

Wydarzenia spowiła ciemna noc.

Mój czas dobiega już końca.

Za kilka minut przyjdzie kolej na wieczorną terapię, a potem nastąpi rutynowe gaszenie światła.

Jestem prawie pewny, że dziś znów zaświeci księżyc w całej swojej pełni. Przespace-ruję się w kierunku jego jasnego światła, oprę ręce o zamrożone okna i spojrzę w niebo. Skieruję wzrok w stronę ciemnych zboczy skał, trwających tu w bezpośredniej bliskości od tysięcy lat i przez cały ten czas subtelnie całowanych przez mroczne morze. Być może to dziś jest ten dzień, w którym przyleci ptak, może nawet całe barwne stado.

Złudzenie Prometeusza

przełożyła Monika Gawlak

Przebudziłem się wczesnym świtem. Nawet tego nie byłem całkiem pewny, ale przynajmniej tak mi się wydawało. Pewność nigdy nie była moją zaletą. Nie wiem, gdzie i kiedy w ogóle ostatnio spałem. Intuicja podpowiadała mi jednak, że nie spałem już od dłuższego czasu. Już dawno temu zdecydowałem, że to tylko jej mogę, choć warunkowo, zaufać.

Godzinami błąkałem się dookoła. Słońce niestrudzenie rozsiewało po mieście swoje piekące promienie. Stałem pod miejską latarnią, na rogu głównej ulicy, i nic konkretnego nie zamierzałem robić. Jednak głęboko w sobie poczułem, że wszystko dookoła zasadniczo się zmieniło. Nic już nie było takie, jakie znałem do tej pory. Niewypowiedziana obcość doszczętnie wgrzyła się w moją duszę. Spojrzałem na niebo.

Mimo wnikliwej obserwacji nawet tam nie można było dostrzec żadnego znaku. Żadnego objawienia nie było w zasięgu wzroku. Przynajmniej wtedy. Zewsząd tylko niez mordowany upał i odurzająca duchota. Jedyne ulice tak jak zwykle wciąż śmierdziały od nadmiaru śmieci. Ich odór rozrastał się dookoła. Miejskie służby sprzątające, jak mi się przynajmniej wtedy wydawało, strajkowały już od miesiący. Wszystko inne również zamarło w miejscu.

Nie przeszkadzało mi to.

A jednak wydawało mi się, przynajmniej przez chwilę, że skądś nadzwyczaj cicho dobiega jakiś niezwykły, trudny do opisania dźwięk. Rozlegał się dookoła i powoli rozpoznawałem w nim boską muzykę, z każdą chwilą potęgującą swoją siłę.

Tłumy zalały miasto. Byłem niemal przekonany, że nikt nie słyszał tych, być może niebiańskich, brzmień. Wiedziałem, że muzyka dochodzi z góry. Ludzie stali spokojnie, jak zazwyczaj. Niektórzy nawet stąpali w miejscu.

W zasięgu wzroku nie było żadnej paniki i żadnych oznak życia nie można było dostrzec w ich ciałach. Na twarzach dało się zauważyć jedynie niecodzienną mieszaninę grozy i tępego zdziwienia. Nic nadzwyczajnego, stwierdziłem. Już od dawna żyliśmy jak zbiorowisko zupełnie obcych sobie ludzi, złączonych pod wspólnym dachem tego miasta. Nasze życia zawsze się mijały.

Zegar na dzwonnicy wskazywał za pięć dwunastą.

Coś mnie napędzało i zaczęłam krząć po mieście.

Poczułam bowiem, że to mój dzień, że jej poszukam i że tym razem ją na pewno znajdę. Szukałam jej latami. Nie miałem jej adresu, najprawdopodobniej nie miałem go nigdy wcześniej. Nie miałem pojęcia, gdzie teraz przebywa. Nic nie mogłem sobie przypomnieć, kierowała mną jedynie wciąż żywa tęsknota za nią.

To pragnienie, jak dobrze się zastanowię, trochę mnie nawet dręczyło. Wiedziony jakimś wewnętrznym przekonaniem miałem pewność, że gdzieś przecież musi istnieć.

Rutynowym gestem ręki zdjąłem kapelusz z głowy i jednocześnie wytarłem spocone czoło w rękaw białej koszuli. Zaczęłam uderzać pięścią w ścianę budynku, który mniej lub bardziej przypadkowo znalazł się przede mną. Niemal w tym samym momencie mną wstrząsnęło. Bezsilnie mnożyłem pytania. Czułem, jakby... jakby groza pustki zgromadziła się i manifestowała swoją przewagę nade mną. Ogarniała mnie rozpacz.

Niewypowiedziany ból przeszywał mój umysł. Nie mogłem przypomnieć sobie nawet własnego imienia. Ten prosty fakt był wtedy dla mnie prawie nierozwiązywalnym problemem.

Rozwiązania wciąż nie było w zasięgu wzroku. Wiedziałem, że obudziłem się jako bezimienny, jako ktoś..., jako wyłącznie połowa człowieka, jako nie-ja. Jestem nikim, myślałem. Błąkałem się dalej i szukałem swojej zagubionej połowy. W tym momencie byłem bowiem święcie przekonany, że znacznie łatwiej jest kluczyć po mieście, jeśli ma się do dyspozycji przynajmniej swoje imię. Jesteś wtedy kimś, jesteś sobą i nikim innym.

Później podjąłem zbawienną decyzję. Nazwałem siebie samego Niko. Było mi o wiele łatwiej.

Światło dzienne powoli szarzało i księżyc w pełni z dumą ukazywał nad miastem swą doskonałość.

Dotarłem do promenady. Ludzie milcząco stali dookoła i mieli spuszczone głowy.

Dostrzegłem ją z daleka, w blasku księżyca, jakby latami czekała tam na mnie. Odziana w śnieżną biel uśmiechała się do mnie, wabiła i powoli, krok za krokiem, zbliżała się z naprzeciwka. Nieskazitelną piękną i smutną wydawała mi się w blasku księżyca. Wabiła mnie w objęcia. Chciałem podbiec do niej, ale nie mogłem. Nogi za nic nie chciały mnie słuchać. Stałem sparaliżowany, przyglądałem się w milczeniu i czekałem.

Jednak wiedziałem, że cały ten czas tęskniłem tylko za nią. A jednocześnie odpowiadało mi to uczucie, że teraz mam ją jakby na wyciągnięcie ręki, że tak czy inaczej jest moja. Wystarczało mi samo pragnienie. Cieszyła mnie ta przecudowna tęsknota, objawiająca się tuż przed spełnieniem i urzeczywistnieniem tego, czego człowiek tak mocno pragnie.

Momentalnie przeszył mnie dreszcz. Przestraszyłem się, że mi ucieknie, że zniknie, że jest tylko złudzeniem ogromnego, już dawno zapomnianego pragnienia, które jest być może zupełnie nieosiągalne. Musisz się postarać, otrzeźwiłem się. Jej łagodny początkowo krok przyspieszał i zaledwie chwilę później zmienił się w lekki, skoczny i powabny bieg.

Grupa ludzi na moment zastoniła mi jej widok. Nie przeszkodziło jej to. Miała przed sobą nakreślony cel i również ja wiedziałem, że spełnienie jest blisko, że do niego przyjdzie. Dotarła prosto do mnie. Rozłożyła ramiona. Opadając, cały odurzony, rzuciłem się w jej objęcia.

„Zatańczmy”, powiedziała cicho i jej pocałunek nappełnił mnie potrzebną energią. Podałem się jej kuszącej propozycji i rozpoczęliśmy dziki romantyczny taniec. Odbывał się w mieście, następnie na rynku, wysoko na mostach... i cały czas w obecności oburzonych i zdziwionych gapiów. Nie podobało nam się to. Zacząłem gubić się w orgiastycznych płqsach.

A raczej nie ja, wszak to w ogóle nie byłem już ja i ona nie była już sobą. Jedno zmieniało formę, stawało się dwojgiem i dwoje stawało się znów jednym. Dwie dusze stopniowo, dzięki temu szczególnemu tańcu, coraz bardziej i bardziej łączyły się w jedną. Nieziemsko zachwycający taniec nie przypominał już tańca pary, ale odkrywał całą tajemniczość i niepowtarzalność istot uwodzzących, już dawno temu nazwanych hermafrodytami.

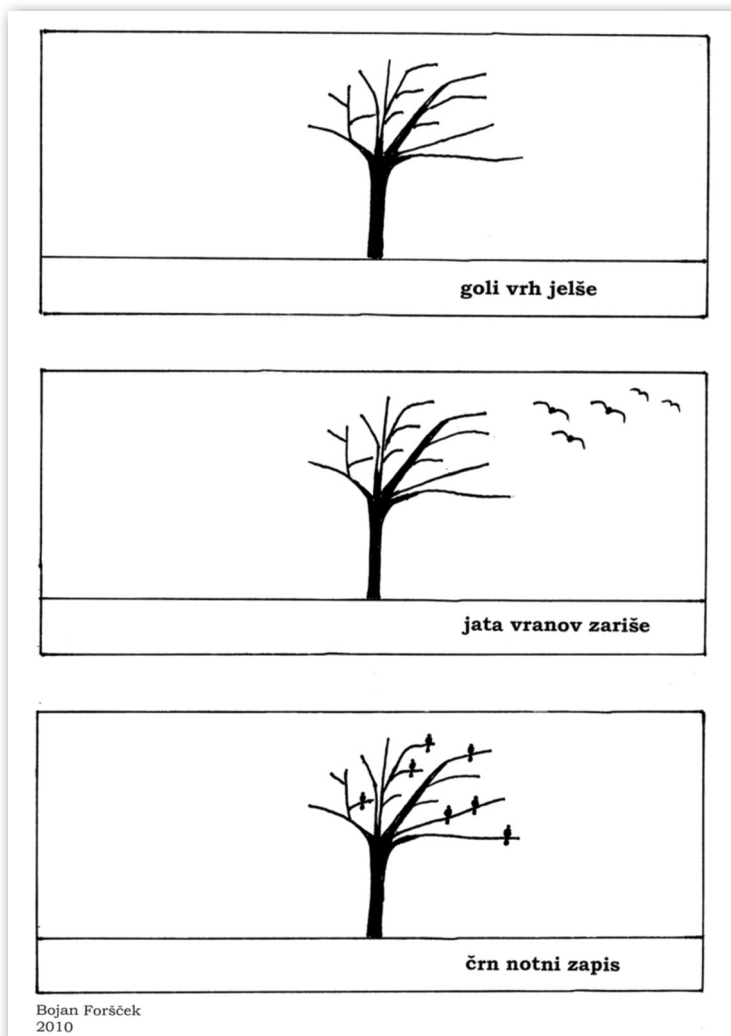
Nadszedł wyjątkowy moment. Wszędzie opadały maski. Wszystko dookoła było rozbite i lubieżnie tańczono na ulicach. Ludzie szaleli w dzikim rytmie muzyki. Oburzenie i zdziwienie zniknęły z ich twarzy. Błogość to jedyne słowo, jakim można by było, przynajmniej w przybliżeniu, opisać kolejne wydarzenie. Wszyscy jak w transie zjednoczyli się w dzikim tańcu, a ich twarze odzwierciedlały czystą radość.

Ten spontaniczny karnawał wzmagał się z minuty na minutę. Obejmowali się, całowali i spajali w namiętnym upojeniu. Miasto ożyło. Radość była niewyrażalna.

Nie na długo. Bezgraniczny błękit nieba i ostre palące promienie słoneczne znów pograżyły miasto w beznadziejnej ciszy i niemal wiecznym spokoju. Koło ponownie się zamknęło.

„Gloria, to naprawdę ty?”, udało mi się jeszcze wypowiedzieć z trudem i ostatkiem sił. Objęła mnie swoimi smukłymi, białymi rękami i delikatnie okryła mnie uwodzicielskim, niekończącym się, koronkowym, białym welonem. Przygarnęła mnie w swoje przyjemnie chłodne objęcie, spojrzała na mnie radośnie i z niezwykłym uśmiechem na twarzy łagodnie szepnęła, tak jakby ten fakt miał być dla mnie oczywisty:

„Matylda, mów mi lepiej Matylda. Wszystko inne jest tylko złudzeniem”.



Bojan Foršček, *Komiks haiku*:
nagi wierzchołek olchy
stado wron szkicuje
czarny zapis nutowy